

tygodnia

POGLĄDY
POLEMIKI
POSTULATY

DODATEK GŁOSU WIELKOPOLSKIEGO

Nr 79 Poznań, 14 IV 1963 Rok III

PIOTR ŻYCKI

ZAKAZ I SMAK

Czy młodzież czyta smirę? Na to interesujące pytanie szukała odpowiedź red. Z. Myszcynowa w artykule zamieszczonym niedawno na łamach „Gazety Poznańskiej” (23. ubm.) Sprawa warta dyskusji. Ponieważ sądzimy, że nie od rzeczy byłoby przy tym sprowokowanie wypowiedzi zainteresowanych — młodych czytelników — przeto uznaliśmy za celowe wypowiedzieć parę uwag o problemie poruszonym we wspomnianym artykule.

Autorka na wstępie opisuje scenkę, w której 15-latek żąda: Kosteckiego „Domu cichej śmierci” i van Dine’a „Piosenki śmierci”.

— „To nie są książki dla ciebie” — odpowiada chłopcu bibliotekarka w artykule Z. Myszcynowej. — Owo mało precyzyjne określenie w swisty sposób rozwija o parę wierszy druku dalej, p. Anna Nowakowa z filii nr 18 Biblioteki Miejskiej (cytuje):

— „Nigdy nie dajemy młodzieży książek takich, które mogłyby wywołać spustoszenie w umysłach” (podkr. — pż) — po czym pani A. Nowakowa, żeby nie było żadnych wątpliwości, dodaje: — „Z literaturą kryminalną powinno być tak, jak ze sprzedażą alkoholu — w stosunku do dzieci i młodzieży po prostu powinien istnieć zakaz”. (podkr. — pż).

Te, budzące wątpliwości, wypowiedzi, autorka artykułu zdaje się akceptować pytaniem (cytuje):

— „Czy młodzież ma naprawdę tak zły smak?” (podkr. — pż).

W toku wymiany poglądów za i przeciw „kryminałom” przeważa teza, iż dobra powieść sensacyjna jest rodzajem literatury przygodowej, rodzajem krzyżówki literackiej. Na pewno produkcji Kosteckiego nie można zaliczyć do książek tego typu, w przeciwnieństwie do van Dine’a, należącego do światowej czołówki pisarzy sensacyjnych.

Naturalnie nie byłoby dobrze, gdyby każdy czytelnik pytał w bibliotece wyłącznie o kryminały — i w tym względzie z Z. Myszcynową zgadzamy się w pełni.

Nie jestem też za czytaniem van Dine’a czy Agaty Christie przez uczniów 5—6 klasy, choć — ha, wstyd wyznać — dopuszczałem się w tym wieku podobnie niecných czynów i nie przypuszczam, abym pod tym względem stanowił wyjątek. Ale też nie podzielam zdania bibliotekarek, domagających się... pełnoletności od amatorów „kryminałów” i ustanowienia administracyjnych zakazów wypożyczania tychże młodym. Cóż to za straszliwe powieści ma na półkach swojej biblioteki p. A. Nowakowa, które „mogłyby wywołać spustoszenia w umysłach młodzieży”?

Słowo o zakazach. Mniejsza o realny (a raczej: nierealny...) kształt tej zaskakującej propozycji; chodzi o jej treść. Otóż zakazy mają to do siebie, że — zwłaszcza u młodych — budzą niechęć, sprzeciw i... chęć poznania zakazanego. Śmiem twierdzić, że nasze państwowe wypożyczalnie książek — choć nie brak tam tomów, reprezentujących mierną wartość literacką — od smirzy (co to jest smirza, to byłby osobny temat do rozważań) na ogół są wolne. Taki stan rzeczy jest prostą konsekwencją uspołecznienia w naszym kraju placówek edytorskich i prowadzenia przez nie selekcji wydawanych książek (choć czasem jeszcze selekcja ta jest niedosć ostra). Godzi się i to przypomnieć, że państwowe wydawnictwo „Iskry”, będące placówką edytorską właśnie dla młodzieży wydaje specjalną serię „kryminałów”.

Odmowa wypożyczania tychże młodzieży, może część czytelników od biblioteki odstraszyć i — popchnąć ich do korzystania z pokątnie pożyczanych od kolegów „arcydzieł”, pamiętających czasy Cukrowskiego czy „i Spółki”. Jeśli bowiem pytamy: czy młodzież czyta smirę? — i jeśli tej smirzy szukamy, to twierdząc, iż czytuje ją nie nazbyt duży odsetek młodzieży, zaopatrując się w lekturę od przypadku do przypadku, „u kumpla”. Czy jednak w ten sposób poczyna sobie większość młodych? Nawet statystycznie wydaje się to niemożliwe, jako że pozostałości dawnej tandety literackiej nie ma w prywatnych rękach zbyt wiele. Chyba, że p. Nowakowa i jej koleżanki przez smirę rozumieją „kryminały” Christie, Putramenta, van Dine’a, Sayers, czy Niziurskiego.

I oto dochodzimy do kwestii smaku. Gdyby pochłanianie „kryminałów” miało świadczyć o złym smaku u młodzieży — jakiegoż mielibyśmy być zdania o dorosłych, przepadających niejednokrotnie za takimi książkami, czytających je o bok arcydzieł literatury? Godzi się przypomnieć, iż czytanie „kryminałów” było i jest ulubioną rozrywką nawet wybitnych ludzi i ze smakiem literackim nie ma wiele wspólnego. Młodzież czyta podobnie: rzadko same „kryminały”, zazwyczaj o bok innej lektury. A nawet jeśli czyta tylko sensację, to czyni tak w pewnym okresie wieku... Dręczy mnie wszakże pytanie: jeśli czytanie „kryminałów” miało być stanowiącym znamię czegoś złego smaku literackiego, czymże jest pisanie tychże?! Biada Putramentowi...

Pomijmy oświadczenie Z. Myszcynowej (cytuje), że „...jedyną placówką, która (...) walczy o duszę młodego czytelnika jest (...) biblioteka”. Przejdźmy do stwierdzenia autorki, zgodnie z którym czytelnictwo (chyba liczba wypożyczeń w bibliotekach publicznych?) wśród młodzieży spada. Jeśli tak jest, warto rozważyć czemu tak się dzieje. Czy przypadkiem nie zawodzi, zalecana przez bibliotekarki w omawianym artykule, metoda nadmiernego ingerowania w gusty młodych? A może ingerowanie to bywa po prostu nieumiejętne? „Wiele bibliotekarek nie jest na odpowiednim poziomie intelektualnym i nie zna księgozbiorów” — stwierdza w artykule Z. Myszcynowej p. J. Jakubowski. Czyżby tu tkwiła jedna z przyczyn braku ekspansji czytelnictwa bibliotek? Inny powód omijania wypożyczalni publicznych podnosi sama Z. Myszcynowa, stwierdzając, że na ogół nauczycielstwo zakazuje młodzieży korzystania z usług tego rodzaju bibliotek. Ponoć dlatego — sugeruje autorka — by utrzymać wysoki wskaźnik czytelnictwa w księgozbiorach szkolnych. A może po prostu, częściej nauczycieli wykazuje tendencje, zbieżne z rozumowaniem p. A. Nowakowej? Trudno zresztą zacytować pedagogom się dziwić, skoro przedstawicielka Biblioteki Miejskiej przestrzega przed książkami „mogącymi wywołać spustoszenie w umysłach”, których jakoby nie brak w publicznej księżnicy...

Z. Myszcynowa kończy artykuł uwagą, że u młodzieży trzeba wzbudzić zainteresowanie dla dobrej literatury, które może z czasem przejść w nawyk. Ślusznie. Tylko jak je wywołać? Autorka proponuje rozbudowanie form informacji o wartościowej książce. Nie jest to zła rada. Przede wszystkim jednak warto by zbadać, dlaczego młodzież nie korzysta w dostatecznym stopniu z wypożyczalni publicznych a nawet — jak sugeruje autorka — od nich odchodzi. Być może w wyniku tego typu dociekań zyskałaby nasza znajomość smaku literackiego młodzieży.

*) Międzywojenne wydawnictwo popularnych sensacji kiepskiego gatunku.

Inżynier Piesiak ma 31 lat i mocno siwe włosy. Porównujemy czupryny i moja 39-letnia wychodzi z tego porównania zwycięsko.

— To rurociąg tak zjada — śmieje się ale zarazem w jego głosie brzmi jakaś satysfakcja. Rolf — dziennikarz berlińskiego „Wochenpost” (przyjechał, by napisać reportaż z budowy tuż przed wkroczeniem stalowych rur do NRD) — nie bardzo pojmuje w czym optymistyczne sedno związku, pomiędzy siwizną a entuzjazmem inżyniera. W duchu zgadzam się z jego wątpliwościami choć — jak się potem okazuje — nie na długo.

— Idę z rurociągiem od samego Płocka. Już czwarty rok. Zaczynałem przy pracach nad dokumentacją. Tu właściwie zdobywałem ostrogi inżyniera, bo akurat w 1958 otrzymałem dyplom na wieczorowej Politechnice w Poznaniu.

Odkrywa przed nami obraz ogromnego placu budowy na kółkach, w przenośni i w rzeczywistości. Ekipy montażowe wraz z maszynami i „domami” przebyły już ponad 300 km (od granicy wschodniej — 600). Trzysta kilometrów — łatwo się mówi, gdy jechać pociągiem, a oni musieli iść, pokonywać dziesiątki bagien, rzek, dziesiątki dróg i torów kolejowych. Drogi zagradzały piaschy i lasy, ulewę i śnieżyce...

— Do końca stalowej rzeki trzeba ułożyć jeszcze 30 kilometrów rur. Na roboty izolacyjne czeka odcinek dwa razy dłuższy. Dziennie montuje się ponad 500 metrów, a izoluje — 1000.

— Czy to dużo?

— Chyba tak. Zobaczycie panowie w terenie.

Jedziemy na odcinek robót nad Wartą. Z wysokiego wału widać wszystko doskonale. Jedna grupa robotników szykuje się do przejścia przez rzekę. Inna, nie czekając aż obciążona betonem stalowa rura legnie na dnie, montuje po drugiej stronie wody — dalsze odcinki. 30-metrowe „kawalki”, pozornie sztywne, zespawane razem tworzą węzłownicę nad podziw elastyczną. Wyciągnięta w kilkusetmetrową linię, prawie dokładnie przylega do nierówności terenu, poddaje się krzywiznom rowu, w którym zostanie złożona.

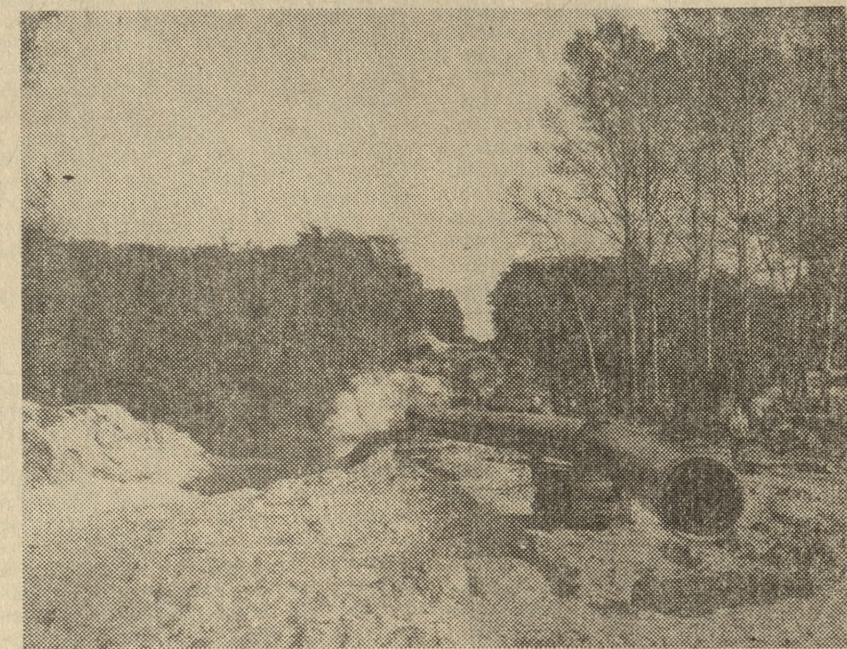
Widać to jeszcze lepiej na odcinku. Tu rurociąg musiał pokonać duże wzniesienie, a potem od razu spadając w dół, ominąć niewielkie bagno. Leży sobie i czeka na dalsze operacje. Wzdłuż nieruchomego rdzawego cielska uwijają się ludzie. Sprawdzają szwy po aparatach spawalniczych, coś tam majstrują stalowymi szczotkami.

Zbliża się godzina 13-ta, ale tempo pracy nie maleje. Dziś sobota, wyjazd do rodzin. Każdy chce jednak skończyć wyznaczoną robotę. Tylko czołowa maszyna, która czyści i wstępnie asfaltuje rury, prześtaia dudnić swoim Dieslem. Resztki czarnej masy rozsmarowuje także drugi agregat izolujący. Krok za krokiem, nieustannie naprzód, owija rurę szeroka taśma ze szklanej tkaniny. Żadnych zbędnych czynności. Nowoczesny rytm nowoczesnych urządzeń, wysokiej techniki i kwalifikowanej obsługi. Kapitałny przykład współpracy narodów: polskie podnośniki, niemieckie rury, radzieckie i czeskie maszyny izolujące.

Majster Małachowski, spec od izolacji, kiedyś miał przy rurociągu wy-

ZBIGNIEW MIKA

Nad stalową rzeką



padek. Lekarze w szpitalu zalecili zmienić pracę. On jednak wrócił. Stoi teraz przy gotowym już odcinku izolacji, wskazuje jakąś usterkę. Tu nie może być lipy. W najmniejszą nawet sparkę wedrze się wilgoć, dopadnie stali i przeżre ją w parę lat. Ropa pompowana będzie przez cień pod ciśnieniem wielu atmosfer.

Brygadzysta Jezior pracuje na „mostostalowych” robotach od 18 lat. Do rurociągu pod Płockiem przybył jako spawacz. Zdobył nowe kwalifikacje, awansował, a spawania nauczył syna. Jezior-junior zlepią rury białą strużką stali absolutnie bezbłędnie.

Poznaniank Szulc na krok nie odstepuje budowy. Podobnie jak reszta załogi nie pyta o nadgodziny, gdy trzeba dłużej zostać. Nie mówi: „firma zapłaci”, gdy popsuje się maszyna. Mówi: „nasz rurociąg”.

Na otwartym polu wiatr przewiewa nawet zimowe palto. W wozie robotniczej stołówki gorąca kawa zbożowa parzy usta, rozgrzewa i zachęca do rozmów. Mój berliński towarzysz — Rolf, sumiennie notuje sprostowania. Inżynier Piesiak jest niezmordowany w swej relacji o rurociągu, o ludziach, kłopotach, a mimo to narzeka, że szkoda, iż nie ma inżynierów Agafanowa i Włodarskiego; oni opowiedzieliby jeszcze więcej. — Ja tu co prawda jestem przedstawicielem przyszłego „właściciela” tych urządzeń — Przedsiębiorstwa Eksploatacji Rurociągu Naftowego — nadzoruję całą budowę, ale...

Nasz gospodarz jest nader skromny i lojalny. Nie chce pomijać zasług kolegów, kierowników robót, godnych wzorowej załogi. Nie chce jednak również mówić o swoich wielomilionowych projektach oszczędnościowych, wprowadzonych przy budowie rurociągu. Ulega wreszcie naszym naleganiom.

Mówi o swoich pomysłach, jak o czymś oczywistym, ale my wiemy

o robotników, że to „duże rzeczy”. Nie, nagrody nie dostał, choć opracował projekt zmiany technologii przejść przez bagna; wpadł na pomysły zastąpienia kosztownych, drewnianych mostków przejazdowych (do czasu zakopania, rury leżą często na wierzchu, w poprzek dróg) betonowymi elementami składanymi; usprawnił defektoskop...

Mnie co innego przychodzi na myśl: kiedy ten człowiek to wszystko robi? Jako kierownik zespołu inspektorów nadzoru musi być wszędzie i zawsze do dyspozycji. Nigdy nie wraca o „biurowej godzinie” do domu. Na palcach może policzyć spędzone dni z dziećmi i żoną.

Gdy mówi o żonie, szukam analogii wśród znajomych mi kobiet, żon, przyjaciół. Niech mi wybaczą powątpiewanie, ale dolibóg, która by zgodziła się w ciągu 4 lat na trzykrotną przeprowadzkę z miasta do miasta, na poznawanie i porzucanie coraz nowych znajomych i przyjaciół, na przenoszenie dzieci do trzeciej z kolei szkoły? Na ciągłe wyczekiwanie wieczorami powrotu męża?

Nie lepsze byłoby życie gdzieś w zacisznym, ciepłym biurze projektów, panie Bolesławie? — pytam — żona przy boku, a na miejski deptak nie trzeba wkładać gumowych butów po kołnana. Nie trzeba by staczać bojów z wykonawcami o każdą słuszną zmianę w projekcie, o terminy, oszczędności. Nie trzeba by odpowiadać za podjęte decyzje. A co będzie pan robił, jak już wieniec świąteczny zawisnie na ostatnim segmencie rury, nad brzegiem Odry?

Inżynier jest jakby zaskoczony pytaniem. — Nie wiem — mówi. — Jedno jest pewne, gdyby zaczęto budować drugi rurociąg — z miejscą się zgłoszę.

Już dawno zrobiło się ciemno, jest godzina 23, gdy wracamy do miasta. Zajeżdżamy pod mieszkanie naszego gospodarza. Na drugim piętrze jedno samotne okno rzuca smugę światła w mroczną ulicę.

KAZIMIERZ NOWOWIEJSKI

Afera z listami Chopina

Nie każdemu wiadomo, że właśnie w Poznaniu rozpoczęła się tak głośna dziś na świecie afera chopinowskich listów do Delfiny Połockiej. „W czerwcu 1945 roku wszyscy amatorowie muzyki Chopina, wszyscy znawcy jego biografii i wielbiciele jego prostych i zabawnych listów zelektryzowani zostali bardzo interesującą wiadomością. Niejaka pani Paulina Czernicka w odczytanie wygłoszonym w radio poznańskim doniosła światu, że odnalazła się korespondencja Chopina z Delfiną Połocką”.

Tak pisał lwaskiewicz w tygodniku „Radio i Świat” (nr 12). Polscy chopinolodzy przyjęli zrazu z entuzjazmem rewelację Czernickiej. Oczywiście, że w czasie kataklizmu wojennego jedne rzeczy giną, drugie się odnajdują. Czernicka obwieściła, że szczęśliwym zbiegiem okoliczności dane jej było zrobić odpisy z oryginałów (których jednak nie mogła pokazać — jako dowodów niezbiętych). Cóż za curiosum dla miłośników sztuki genialnego kompozytora. Od dawna poszukiwane listy chopinowskie! A jakie treściwe i ciekawe! Oblitujące w dłuższe wypo-

wiedzi na temat twórczości Bacha, Mozarta, Beethovena, Liszta a także Słowackiego i Norwida. Pieprzyku dodają różne frywolności obyczajowe i drastyczne erotyczne. Choćby i ta swawolna opowieść o „jedenastu figlikach miłosnych” z których jakoby urodziło się Preludium As-dur op. 28 nr 17. Wykwintny Chopin i osławiona „Findelka”, nauczycielka wiedzy miłosnej, grande amoureuse romantyzmu, fortepianistka i śpiewaczka, długoletnia przyjaciółka Z. Krasińskiego...

Charakter całości tej (niby odnalezionej) korespondencji zdradzał wszystkie znamiona pióra Chopina. „Większość fragmentów uderza bardzo chopinowskim klimatem i one to spowodowały, że tej miary znawcy stylu c łwaskiewicz, Siromenger (którzy się później wycofali), i do pewnego stopnia Dąbrowska ulegli urokowi języka. Uległo nas zresztą wielu „pisał W. Rudziński („Polityka” 1961). Prof. U. J. — Z. Jachimecki (autor cennej pracy o Chopinie) włączył bez wahania fragmenty korespondencji (do Delfiny) w skład swego „Wyboru listów” (Ossolineum).

Ale już blisko 20 lat minęło od pamiętnego wystąpienia w Poznańskim Radio. Po pierwszej fali zachwytów zaczęły się odzywać coraz liczniejsze głosy sceptyczne. Listy czy też

jednak apokryfy? Fenomenalnie utalentowana misyifikatorka? Czyżby Pani Paulina była psychopatką, dla własnej chwały i sławy fałszującą warsztat epistolarny Chopina? Samobójstwo Czernickiej wzmocniło podejrzenia. Tymczasem sprawa nabrała międzynarodowego rozgłosu. Wszystkie pisma muzyczne światła rozpoczęły dyskusję — za i przeciw. Jesienią 1961 r. zebrana w Nieborowie konferencja (złożona z polskich arylsów i naukowców) stanowczo przychyliła się do opinii, że sensacyjne listy są tylko zręcznymi fałszyfikatami.

Ale do tej pory czekamy wszyscy na opublikowanie szczegółowej motywacji i materiałów z owego posiedzenia. Płoniemy ciekawością: jakie te listy? Gdzie są? Ile ich jest? Wszyscy o nich mówią, ale całości nikt nie czytał. I jakoś nadaremnie czekamy. Sprawa wygląda mimo wszystko dosyć niejasno. W gwiazdkowym numerze „Ruchu Muzycznego” zasłużony naukowiec prof. M. Gliński (USA) otworzył na nowo dyskusję właśnie nad listami, przytaczając wiele zasadniczych argumentów, zaciekle broniących... tezy autentyczności. W końcu już niewiadomo czy sprawa się kiedykolwiek wyjaśni (w sensie znalezienia oryginałów), czy też odpisy Pauliny Czernickiej będą wiecznie krążyły — jak sputnik po orbicie — wokół Chopina.

WYSZŁO NA DOBRE

Dzwonek. Przerwa lekcyjna. Na długi i idealnie czysty, a zarazem przyjemny dla oka korytarz wysypują się z klas dziewczęta. Gwar, śmiech i bieganie. Równocześnie poprzez otwarte okna do opróżnionych izb napływa kwietniowe powietrze. Z ciekawości zaglądam do nich. Urządzenie nowiusienkie. Ogólnie budynek sprawia wrażenie, jakby mu wiele lat ubyło. Zwiedzałem go przecież przed jedenastu laty, chociaż i wtenczas pod względem schludności nic zarzucić nie można było, z wyjątkiem braku łazienek.

Jestem w Państwowym Technikum Gospodarczym i Zasadniczej Szkole Gospodarczej w Lubocześnicy pod Pniewami szamotulskimi. Jeszcze przed rokiem szkołę tę prowadziły siostry Urszulanki. Opłata za naukę i internat dla jednej uczennicy wynosiła ponad 800 zł miesięcznie, każda też musiała mieć swoją pościel. Niewielu rodziców mogło sobie pozwolić na umieszczenie tu swojej córki. Czyżby siostry zakonne zbierały duże zyski? Raczej nie. Sama nauka kosztuje, dużo pieniędzy pochłaniały inwestycje w urządzenia. Przejście szkoły przez władze państwowe odbyło się 20 lipca 1962 roku na podstawie rozporządzenia wykonawczego Ministerstwa Oświaty, opartego o ustawę sejmową z 15 lipca 1961 roku.

Nadchodzi właśnie dyrektor Czesław Dziamski.

W małym gustownym jego gabinecie, dowiaduję się o trudnych dniach przed rozpoczęciem roku szkolnego. W połowie sierpnia ubiegłego roku zwrócono siostronom całe wyposażenie internatu i szkolne. Zostały tylko gołe mury i nazwa szkół. 1 września miało tu zjechać 200 dziewcząt. Trzeba było sprowadzić szafy, stoły, krzesła, ławki, urządzenia kuchenne i wiele innych sprzętów. Zwiezione trzy dni przed rozpoczęciem nauki łóżka wymagały farby. Pomógł w tym pracownik GS — Woźniak i malarze

z tej samej Spółdzielni. W niedzielę, ostatni dzień sierpnia, kończono roboty, gdy już przybywały uczennice. Jeden z ojców, który przywiózł swoją córkę, członek spółdzielni produkcyjnej w Turowie — p. Szubertowski, zakasał rękawy i zabrał się do transportowania odnowionych łóżek do izb internatowych. Przykład znalazł naśladowców wśród innych rodziców. Żadna z dziewczyn (189 w internacie) nie spała na podłodze, jak przewidywali pesymiści i malkontenci. Lekcje rozpoczęły się planowo. Później wymieniono wspomnianą łóżka na nowe.

— Czy na tej zmianie gospodarza zyskały dziewczęta?

Dyrektor, który jest zarazem matematykiem, lubi operować faktami i liczbami. Podaje: nauka jest bezpłatna, za internat płaci się 384 złote miesięcznie. Do tego trzeba dodać, że 42 uczennice na 167 w Technikum i 39 uczennice z 100 w Zasadniczej Szkole Gospodarczej korzysta ze stypendium w wysokości od 360 do 180 zł dla przebywających w internacie i od 263 do 131,50 zł dla dojeżdżających. Państwo na stypendia łoży po blisko 20 tysięcy zł miesięcznie. A więc na zmianie skorzystali przede wszystkim rodzice, którym także odpadł kłopot z pościelą, gdyż przejęły go na siebie władze szkolne.

Nie straciły też siostry zakonne. Majątek ruchomy odebrały. Za korzystanie z budynków i placu szkoły płaci im przeszło 10,5 tysiąca zł miesięcznie. Mają własne gospodarstwo, swoje domy. Kłopoty mają tylko obie szkoły: brak mieszkań dla nauczycieli, którzy dojeżdżają tu z Poznania, Lwówka, Szamotuł... Warto się nad tym zastanowić i pomóc szkołom i ich personelowi.

Kilka słów o młodzieży. Uczennice jeszcze za czasów zakonnego kierownictwa domagały się zorganizowania drużyny harcerskiej, chciały pracować zespołowo, działać, wędrować. Siostronom jakoś trudno było się

zdecydować. Teraz drużyna ZHP liczy 90 harcerek.

Przewiduję, że za parę tygodni młodzież żeńska obu szkół powoła do życia organizację ZMS-owską. Nikt do niej nie zachęcał, ani nie namawiał. Początkowo masowo chciały wszystkie założyć koło ZMS, później jednak ze źródeł znanych tylko młodzieży nadeszły zastrzeżenia. Uczennice zaczęły się więc zastanawiać. Ale teraz 30 podpisało już deklarację i czeka na decyzję KP ZMS w Szamotułach.

Niepełna byłaby relacja, gdyby nie wspomnieć o życiu religijnym; która z uczennic chce — chodzi do kościoła, ale nie wszystkie to robią. Nie odpowiada im to, mają już inny pogląd na świat. Ten fakt zdziwił nieco siostry zakonne: — Myśmy swoich uczennic nie znały.

No — cóż, zmienia się młodzież. Stosunek do rzeczywistości opiera o wiedzę.

Korzystam z uprzejmości wicedyrektorki — mgr Aleksandry Zapłaty i zwiedzam ośrodki Spółdzielni Uczniowskiej. W suterenie sklepik: cukierki, czekoladki, mydełka, atrament itd. W przygotowaniu jest drugi punkt sprzedaży, który przejmie artykuły piśmienne. Trzeci — punkt gospodarczy, dostarcza wypięku (własne uczniowskie wyroby piekarnicze) do sklepiku i prowadzi bufet w czasie zjazdów rodziców. Cztery — punkt krawiecki, piąty — fotograficzny i szósty — chyba jedyny w polskich szkołach — zakład fryzjerski. Obroty Spółdzielni od początku roku szkolnego do końca marca — 121 tysięcy zł, w tym 4 tysiące zł zysku. Właśnie delegacja tej instytucji uczniowskiej z kwiatami i tortem udała się na walny zjazd delegatów Gminnej Spółdzielni.

Jeszcze zaglądajmy do kuchni internatowej. Jedna z klas pełni tu funkcję kucharek, spieszą się dziewczęta, bo wkrótce dzwonek obwieści porę obiadu. Szkoła zasadnicza bowiem przygotowuje przyszłe żony i matki do prowadzenia domu, gotowania i szycia, dając przy tym ogólne wiadomości, a Technikum — oprócz przygotowania do prowadzenia domowego gospodarstwa — maturę i prawo do studiowania na wyższych uczelniach.

„Wśród książek będziem brodzić...” Plac jest obszerny, centralnie położony, dla wszystkich dzielnie najłatwiej dostępny. Ma doskonałą oprawę naturalną w postaci otaczających gmachów oraz pomnika wieszczki Adama, o nowoczesną zaś oprawę plastyczną winni się zatroszczyć nasi plastycy.

Jeśli chodzi o autorów, podpisujących książki, nie należy chyba porównywać na naszych poznańskich, lecz pozapraszać także pisarzy z innych ośrodków, rzecz jasna po zgromadzeniu wpięku odpowiedniego zestawu ich książek. Być może celowe byłoby się zastanowić nad zorganizowaniem osobnego kiermaszu książek dziecięcej. Niech się nad tym głowi organizator kiermaszu, którym chyba mógłby być — przy współudziale Domu Książki — Pałac Kultury. Występy artystyczne przy takiej okazji nie są chyba niezbędne, one raczej odwracają uwagę od książki miast ją przyciągać. Niech książka sama się broni wobec zwiędających kiermasz. Byłoby tylko zatroszczyć się o dobry wybór książek. Nie mamy w Poznaniu tyle edytorów co Warszawa, lecz można chyba trochę tych książek pościągać.

Dom Książki mógłby niezwłocznie zwrócić się do warszawskich wydawców, by skłonić ich do zorganizowania na poznańskim kiermaszu swoich stoisk, co z pewnością znacznie wzbogaciłoby tę imprezę. A jeśli się to już nie uda warto już teraz uzgodnić to sobie na następny rok.

A kiermasz powinien być pomyslanym jako impreza miejska, przy której organizacji współdziałałyby wszystkie dzienne nie tylko w sensie jakiegoś protektoratu, lecz czynnie, dając swój wkład organizacyjny i finansowy. O wszystkim tym czas pomyśleć bez zwłoki. Maj za pasem!

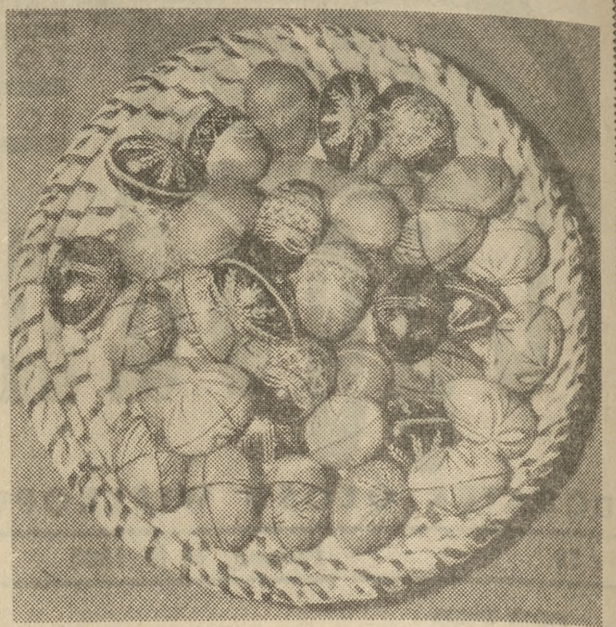
EMES

Gdy kwitły wiśnie i jabłonie

ZE WSPOMNIEN
UCZESTNIKA
FORSOWANIA NYSY

16 kwietnia przypada 18 rocznica forsowania Odry i Nysy przez oddziały 1 i 2 Armii Wojska Polskiego — w ramach operacji berlińskiej Armii Radzieckiej. W forsowaniu Odry wzięła udział 1 Armia Wojska Polskiego

Pisanki
malowanki



ZOFIA ANDRZEJEWSKA

Powracająca fala?

Nie, to nie było ani w Sokółce, leżącej na krańcach województwa białostockiego, ani w Hrubieszowie na dalekiej Lubelszczyźnie. Było to blisko Poznania — w małym miasteczku o malowniczym położeniu. Z Janem i jego rodziną zetknął mnie przypadek, nieodłączny towarzysz reporterskich wędrówek.

Dlaczego chcę pisać o Janie? Bo Jan i jego otoczenie zapisali się tak głęboko w mej pamięci, że z uroczym położeniem miasteczka wywołam tylko ich obraz. O Janie zresztą pisać warto. Jest pogodny, pracowity, uczynny, szczery. Czy jednak zupełnie szczęśliwy?

Jan ma wszystkie cechy pozytywnego bohatera. Od lat produkuje w pracy w jednym z większych zakładów przemysłowych Poznania, gdzie codziennie dojeżdża ze swojego miasteczka. Wstaje o czwartej. Ale nie pomstuje na radę zakładową, że nie daje mu mieszkania w Poznaniu. Uważa, że w małym miasteczku życie jest tańsze. W lecie dożywia las i jeziora, w zimie chodzi się przedzie spać, nie tracąc pieniędzy na głupstwa, jak to bywa w dużym mieście. Jan potrafi oszczędzać i chyba musi, chociaż zarobki ma zupełnie nieźle. Urlop spędza na przykład na wykopkach. Są z tego ziemniaki na zimę dla całej rodziny. A rodzina jest liczna — żona i pięcioro drobnych dzieci. Najstarszy syn chodzi do drugiej klasy szkoły podstawowej. I tu się zaczyna tragedia Jana — bo jego syn Staszek potrafi w drugiej klasie lepiej czytać i pisać niż ojciec. Trzydziestoczteroletni Jan jest bowiem wtórnym analfabetą. Podobnie jego żona i teściowa. (Ta ostatnia również wzorowa robotnica jednego z miejscowych zakładów pracy).

Do niedawna Jan, pochłonięty pracą, nie zauważał swoich braków. Jeszcze dziś zdystansowanie przez syna pokrywa żartem — „taki mały, a pisze lepiej niż ja” — ale w żarcie tym brzmi już fałszywa nuta. Pozytywny bohater zaczyna być nieszczęśliwy. Nie czytająca gazet teściowa i żona potrafią jedynie zachęcać do roboty i kościół. Pozostaje jeszcze radio. Ale radio to za mało, by wyprowadzić tych ludzi z wydeptanych wąskich ścieżek na szeroki gościniec, który kiedyś z pewnością odnajdą ich dzieci.

Wydaje się, że większość konfliktów dorośli — młodzież mieści się w nienadążaniu starszych. W zbyt szybkim odchodzeniu dzieci we własny świat. I nie ma w tym zły woli młodych. Takie jest ich prawo. Taka jest prawidłowość ciagle rozwijającego się postępu. Zmniejsza konflikty mogą tylko dorośli. Poszerzaniem wiedzy, chęcią zrozumienia nowych spraw i zjawisk. Dlatego żal mi Jana. I nie tylko Jana. W roczniku politycznym i gospodarczym na rok 1962 Jan Szkop pisze, że około 30 proc. pracowników zatrudnionych w gospodarce społecznej nie ma ukończonej szkoły podstawowej (ponad milion osób w wieku do 35 lat a łącznie z ludnością wiejską około 2 miliony). Te liczby boją.

Wprawdzie plany naszego resortu oświaty w dziedzinie oświaty dorosłych są gigantyczne. Przewidują objęcie nauczaniem w szkołach, na kursach ogólnokształcących i kursach nauczania początkowego — 300 tysięcy osób rocznie. Pomyślano też o poszerzeniu form nauki. Obok dotychczas istniejących szkół i kursów organizowane są szkoły przyzakładowe, międzyzakładowe, środowiskowe — miejskie i wiejskie oraz szkoły niedzielne.

Tworzy się oddzielne klasy dla dorosłych i młodocianych — organizuje klasy wyrównawcze oraz klasy o semestralnym trybie nauczania i klasyfikowania. Czy jednak plany te obejmą Jana? Chyba nie. Jan bowiem to trochę inny problem. Jan uczył się przecież pisać i czytać osiemnaście lat temu — w wojsku. Później jednak nie był mu to umiejętności do niczego potrzebne. Wyszedł więc z wprawy.

Jak więc pomóc Janowi i wielu jemu podobnym? Wydaje się, że trzeba do nich trafić za pośrednictwem... dzieci. Przez miłość do syna Jan zaczyna się orientować w swych brakach. Ta droga można w nim wzbudzić chęć pracy nad sobą. A jak to zrobić? Trudno mi na to odpowiedzieć. Może przez wywiady i odpowiednią agitację członków komitetów rodzicielskich czy kół Towarzystwa Szkół Świeckich, może przez kontakty nauczyciela z rodzicami. Sposobów jest chyba wiele. Oświatowcy znajdują z pewnością najlepszy. Zobowiązuje ich przecież ustawa Sejmu RP z 7. IV. 1949 roku o likwidacji analfabetyzmu.

Matka „bolejąca” G. Jokubonisa

Wśród najlepszych dzieł z dziedziny sztuk plastycznych, zgłoszonych do Nagrody Leninowskiej na rok 1963, znajduje się pomnik ofiar faszyzmu we wsi Pircziupis. Twórcą monumentu jest 35-letni rzeźbiarz Gedyminas Jokubonis. Pomnik przedstawia matkę bolejącą, którą

cierpienie nie zdołało załamać wzniesiono w „litewskich Lidicach”, jak nazywają wieś Pircziupis, spaloną przez hitlerowskich okupantów w lecie 1944 r. wraz z 118 mieszkańcami.

Rzeźbę bardzo prostą i zwartą kompozycyjnie wyciosano w bryle szarego granitu.

Gedyminas Jokubonis jest jednym z najbardziej utalentowanych przedstawieli litewskiej szkoły rzeźbiarskiej.

trudne, należało przecież działać pod ogniem nieprzyjaciela. Najbardziej krytyczne chwile nastąpiły jednak na drugim brzegu Nysy. Dookoła rwały się pociski artyleryjskie, a my rozminowywaliśmy pas natarcia, wykonywaliśmy przejścia, objazdy i mosty. W wykrywaniu min bardzo pomagały nam specjalnie przeszkolone psy dostarczone przez żołnierzy radzieckich. To trochę nieprawdopodobne, a jednak te psy były tak uciążliwe na zapach trotylu, że z łatwością odnajdywały każde większe skupisko min. W ten sposób unikaliśmy „nadziania się” na bardzo sprytnie zaminowaną zwalę leśną.

Dokończenie na str. 4

Patrz, Adamie na nas z nieba

Już wkrótce dobijemy do maja, który wraz z prawdziwie wiosenną (mamy nadzieję) pogodą przyniesie nam tradycyjne Dni Oświaty, Książki i Prasy. No a w te Dni, jak wiadomo, bez kiermaszów ani rusz. Poza szeregiem kiosków z książkami przy ulicy Armii Czerwonej i pojedynczymi kioskami jeszcze gdzieś indziej, główny kiermasz książkowy odbywał się w ubiegłe lata w Parku Kasprzaka. W muszli koncertowej w taki niedzielny ranek majowy rznąła orkiestra lub też taneczne zespoły wybijały hołupce, przed muszlą gro mada gapiów wybatuszała oczy, a gdzieś tam na boczku kilku poznańskich literatów siedziało przy swoich

książkach; gwoździ sprawiedliwości dodajmy tu, że nie byli oni bezustanku samotni, czasami jakąś książkę temu i owemu czytelnikowi podpisali.

Kiermasz w Parku Kasprzaka miał być głównym miejscem zbliżenia poznaniaków z książką, jednakże ze względu na swoje usytuowanie był w rzeczy samej imprezą jedynie dla mieszkańców Grunwaldu.

Chyba warto już teraz pomyśleć o tegorocznym kiermaszu i zastanowić się zarówno nad miejscem dla niego, nad jego plastyczną oprawą (w ubiegłych latach była ona słaba) oraz nad jego treścią. Zdaje się, że takie miejsce mamy: wyborne i dotychczas dla tych celów zupełnie nie wykorzystane: plac Adama Mickiewicza. Jeśli dobrze kiermasz zorganizujemy, będziemy mogli zaśpiewać na starą melodię poloneza: „patrz, Adamie, na nas z nieba, jak

DOKUMENT — MOCNA STRONA POLSKIEJ SZTUKI FILMOWEJ

Znajduję się sam na sam z ojcem... Poufna rozmowa rodzinna? Bynajmniej. Moim rozmówcą jest „ojciec” — jak go nazwał jeden z dziennikarzy zachodniemieckich — polskiego filmu dokumentalnego. Dodajmy: jest to jeden z inicjatorów odrodzenia polskiej kinematografii. Słowo: Jerzy Bossak.

— Prymat polskiego filmu krótkometrażowego na arenie międzynarodowej udokumentowały dobitnie sukcesy na zeszłorocznym Festiwalu w Tour, a ostatnio w Oberhausen. — Czy utrzymamy ten prymat? — pytam na wstępie reż. J. Bossaka.

— Jestem optymistą. Nie jest to jednak optymizm z pogranicza cudów... Dalszy rozkwit naszego krótkiego metrażu może być zahamowany brakiem nowoczesnej bazy technicznej. Bez modernizowania sprzętu nie będziemy zdolni realizować naszych ambitnych zamierzeń. A przecież moglibyśmy — dodaje reż. Bossak — zarobić sami potrzebne na zakup sprzętu dewizy. Udział krótkiego metrażu w eksporcie w ogólnej puli filmowej nigdzie nie jest tak duży jak w Polsce.

— Jakże inne czynniki — oprócz postulowanego unowocześnienia sprzętu — mogą wpłynąć na dalszy rozwój polskiego filmu krótkometrażowego?

— Przede wszystkim: sprzyjający klimat twórczy w tej dziedzinie sztuki filmowej, tudzież fakt, że po-

siadamy wielu zdolnych twórców, którzy nie powiedzieli jeszcze ostatniego słowa.

— Czy w dokumencie, gatunku filmowym najbliższym Pana sercu, istnieją nowe tendencje twórcze?

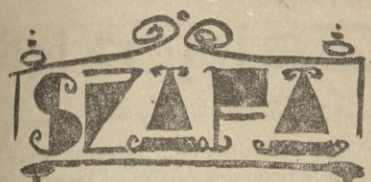
— Naturalnie. Na przykład film będący czymś w rodzaju zwiastu socjologicznego: czynione na gorąco, niepostrzeżenie, obserwacje ludzi i całych środowisk. Takimi filmami są — „Źródło” Jaworskiego czy „Muzykanci” a z zagranicznych, oglądany w Oberhausen kanadyjski „Lonely boy” o reakcji młodocianej widowni na występy Paula Anki.

— A propos Oberhausen: czy można by ustalić lokatę twórców z poszczególnych krajów w reprezentowanych rodzajach filmu krótkometrażowego?

— Spróbujmy: w animowanym filmie klasycznym w czołówce kroczą Jugosłowianie, Czesi, Amerykanie i Francuzi. W dokumencie palma pierwszeństwa przypada Polakom. Nasi najgroźniejsi konkurenci to Amerykanie i Kanadyjczycy. W animowanym filmie awangardowym na czele znajdują się Francuzi przed Włochami. Nowe słowo w tym gatunku filmowym — dodaje na zakończenie reż. Bossak — ma Polska. Lenica! Twórca, który znalazł plejadę epigonów i naśladowców.

Rozmawiał:

ZBIGNIEW K. ROGOWSKI



Postanowiłem się wreszcie urządzić. Od pewnego czasu coraz bardziej drażnił mnie mój pusty pokój, w którym ubrania wisiały na haku, a książki całymi stosami poniewierały się po podłodze.

— Też pomysł, w którym masz na co wydawać forsy tylko na grały! — odradzali koledzy, z którymi grałem w pokera siedząc po turecku na miękkim chodniku, jedyną krzesło służyło nam za bufet. Nie brałem sobie tych uwag do serca; wiedziałem, że się boja, aby w zagrożonym pokoju nie zabrakło przestrzeni, a właśnie przestrzeń była w ich pojęciu największą zaletą mojej kawalerki.

Kłóregoś przedpołudnia wyszedłem samotnie na miasto — chciałem się rozejrzeć po sklepach z meblami. Niczego jednak godnego uwagi nie znalazłem; wszystko było drogie i brzydkie. Wróciłem więc do domu i po krótkim namyśle zdecydowałem powiesić na ścianach kilka starych reprodukcji, które leżały na podłodze pomiędzy książkami. Od razu zrobiło się trochę przytulniej, a jeden z obrazków przedstawiający faceta o ogromnych, odstających uszach, ze szramą na szyi, dumającego nad szklanką czerwonego wina stał mi się wnet tak bliski jakbym sam wypyl z nim beczkę tego wina. Stało się jednak długo, gdy z powrotem opadły mnie moje tęsknoty. Budziłem się w środku nocy: słysząc pełne urokliwych tajemnic skrzypienia, które wydają z siebie tylko duże, solidne przedmioty z drzewa. Otwierałem oczy, ale kiedy przebiegłem wzrokiem ciemność przyskały złudzenia — było pusto i zimno. Nieraz zdarzało się, że zapalając światło stawałem z pełnym kieliszkiem przed facetem z obrazu i przepijając do niego zasięgałem rady. Był to długi monolog, w którym wydobywałem na wierzch wszystkie swoje bóle i marzenia, pewien, że nie zostaną wysłuchane i że moje racje muszą być gorą. Po kilkunastu minutach kładłem się z powrotem do łóżka z szumem w głowie i z nieugiętymi postanowieniami: następnego dnia pokój będzie umeblowany. Ale wszystko kończyło się tylko na postanowieniach. W sprawę mieszała się zainteresowani koledzy, którzy zawsze potrafili w porę znaleźć odpowiednie preteksty, by odwrócić uwagę od składów meblowych i koryzających z moich rozlicznych słabości skierować ją w innym kierunku. I byłoby tak pewnie do sądnego dnia, gdyby w to wszystko nie wkroczył jak zwykle przypadek. Pewnej soboty wpadł do pokoju pies sąsiadów, młodziutki bokser o nigdy niezaspokozonej chęci do zabaw i zarcia. Szybko uwinął się z najcenniejszymi książkami, co leżały na osobnej kupce przy samej ścianie przykryte kapą, żeby się nie kurzyły. Kiedy wróciłem do domu zastałem prawdziwe pobojuwisko i dogorywającego psa. Poczułem złość tak wielką, że nawet śmiertelne drgawki szczeniaka nie wywołały we mnie ani cienia litości. Chwilę potem wezbrała we mnie ostateczna decyzja. Właśnie przed południem zobaczyłem w jakiejś graciarni w bocznym zaułku przedmiot moich marzeń. Była to lśniąca orzechowa polifura szafa o kilku kon ygnacjach, duża, pakowna, a równocześnie kształtna i słosunkowo niedroga. Nie czekając aż znów ktoś zacznie mnie od tego odwozić wybiegłem szybko na ulicę. Zdażyłem jeszcze przed zamknięciem składu; po paru minutach szafa należała do mnie. Sam pomagałem tragarzom wnieść ją po schodach, a potem sporo czasu straciłem zastanawiając się, w którym miejscu będzie wyglądała najbardziej okazale. Wreszcie ustawiłem mebel naprzeciw okna, tak, aby odbijało się w nim poranne słońce. Długo jeszcze gładziłem jego lśniąca powierzchnię odczuwając przy tym radość właściwą tylko posiadaczom rzeczy pięknych i cennych. Sprawdziłem także zawiasy, zamki i przepastne nieomal wnętrza; w szafie pełno było półek, wieszaków, szuflad i rozmaitych schowków niewiadomego przeznaczenia. Kontemplację przerywały mi kilkakrotnie uporczywe dzwonki do drzwi, ale ani myślałem komukolwiek otwierać. Tego wieczoru chciałem być sam. Zacząłem powoli znosić cały swój dobytek; nie minęła godzina, gdy wszystko zniknęło we wnętrzu szafy. Wyciągnąłem z okna niedopitą butelkę i napełniwszy kieliszek stanąłem przed przyjacielem z obrazu.

— Piękny mebelek, co? — mruknąłem patrząc w jego czarne, nieruchome oczy i stuknąwszy kieliszkiem w szklanicę pełną wina, którą trzymał w ręku wypilem do dna.

Noc przespałem błogo z głową pełną rozkosznych widziadeł; w uszach skrzypiały mi znów stare meble, a dźwięk ten brzmiał pięknie od

* Z tomu opowiadań pt. „Pogrzyb z gramofonem”, który ukaże się nakładem Wyd. Poznańskiego.

Uwagi o Zawieyskim zaczniemy od cytatu z jego teoretycznych rozważań na temat zagadnień literatury katolickiej. (...)

„Zupełna zgodność — pisze Zawieyski — pomiędzy życiem wewnętrznym człowieka religijnego a jego czynem może istnieć tylko na planie moralnym. Natomiast dziedziną cnót intelektualnych człowieka religijnego może nie układać się zgodnie ani proporcjonalnie do życia jego wiary (...) Bóg nieraz powołuje dla świadczenia swej Chwały ludzi, którzy nie są w pełni godni tego powołania”.

Jeśli domyślam się dobrze intencji autora, to cały ten wywód jest zastrzeżeniem dyktowanym poczuciem odpowiedzialności za opinię o Kościele i wierze. Po prostu pisarz świadomy ludzkiej ułomności chce uniknąć zapisywania własnych błędów na konto systemu religijnego i strzegącej go instytucji. Tę obawę potęguje jeszcze wieloznaczność literatury jako specyficznej formy wypowiedzi. (...)

Nie bez kozery rozpoczęliśmy od teoretycznych poglądów naszego autora i nie bez kozery podkreślaliśmy niektóre postawione przez niego pytania i proponowane tematy. Zawieyski bowiem, choć wychowany po katolicku i w katolickiej rodzinie, jest katolikiem — konwertytą. Zrozumiałe więc jest zainteresowanie racjami, dla których dojrzał, lewicujący nieco pisarz, wraca do religii swego dzieciństwa. (...)

Już w dwu pierwszych powieściach Zawieyskiego było coś, co albo zapowiadało jego późniejszą konwercję, albo przynajmniej ją ułatwiał. W „Gdzie jesteś przyjacielu” i w „Daleko do rana” przeprowadza Zawieyski bardzo słachetną w intencjach, ale bardzo płytką w sposobie widzenia społecznych konfliktów krytykę kapitalizmu. (...)

Nie kwestionuję intencji i szczerych sympatii lewicowych autora, zwracam jedynie uwagę na po-

Jerzego Zawieyskiego Księgi Hioba

wierzchność jego zaangażowania. Ta powierzchowność połączona z dość opacznym rozumieniem istoty ruchów rewolucyjnych być może tłumaczy łatwość późniejszej konwercji. Od tego, co autor chciał powiedzieć, nieraz ważniejsze okazuje się to, co mu się mimo woli powiedziało. W „Daleko do rana” pozytywnym i z całą pewnością miłym autorowi bohaterem jest komunistą Adam. Ale niech ręka boska broni od takich komunistów. Program partii wyłożony w liście bohatera brzmi tak: „cały dorobek inteligencji nie tylko, że nie będzie w nowym ustroju potrzebny, ale po prostu zniszczymy go z całą bezwzględnością, gdyż jest szkodliwy”. (...)

Fatalnie w tym szczegółowym przypadku, bo w momencie konwercji byłego lewicującego inteligenta naiwne społeczne tendencje wczesnych powieści zostały jeszcze bardziej zwięzione do moralistyki osobistej. Stosunki można bowiem krytykować, moralizować i nawracać można tylko osoby.

Nie przypadkowo w wyznaniach Zawieyskiego na temat dziejów własnego nawrócenia znajduje się zdanie: „I choćby w Kościele był jeden tylko sprawiedliwy, świętość Kościoła pozostanie nieskalana”.

Stąd u Zawieyskiego konkretność i realność wydarzeń historycznych jest w gruncie rzeczy pozorna. Weryfikowana zasadami fikcji literackiej zakładającej w minimalnym choćby stopniu prawdopodobieństwo wydarzeń, nie wytrzymałaby krytyki. (...)

Nie rozstrzygając tej wątpliwości powiedzmy jednak wyraźnie: w momencie konwercji Zawieyski dokonał takiej selekcji w przyjmowa-

nym światopoglądzie katolickim, że konstytutywnymi czynnikami jego sztuki stały się nie filozoficzne problemy wyznania, lecz przeżycia nastrojowo-religijne. Mimo wyżej wysuniętego zastrzeżenia ośmielam się twierdzić, że z wyjątkiem Hanny Malewskiej, pisarki odważnie wkraczającej na tereny wielowiekowej nieobecności katolicyzmu, większość piszących w Polsce katolików traktuje swój światopogląd w kategoriach szczególnie aintelektualnych. Łagodzenie konfliktów i ich przedstawianie w stadium „rozstrzygalności” — to jedna, omówiona już strona zagadnienia. Druga — to łapczywe poszukiwanie uspokojenia, ukojenia i pocieszenia za wszelką — oczywiście artystycznie rozumianą — cenę. (...)

Katolicyzm Zawieyskiego jest katolicyzmem moralnej pewności, religia — ostoja. Dlatego w tkance stylistycznej utworów Zawieyskiego daje się odczuć nie tyle potrzeba pytań, ile potrzeba manifestacji. Manifestacja zaś z natury rzeczy bliska jest sloganu i rytualnego gestu. (...)

Napisałszy, że Zawieyskiemu nie postawimy zarzutu herezji. Dodajmy: chyba, że to będzie nie całkiem świadome odchylenie w kierunku okazjonalizmu.

Andrzej Kijowski bardzo trafnie określił tę właściwość pisarstwa Zawieyskiego: „Zawieyski jest śpiegiem Boga, podpatruje zasady jego strategii”. Tylko że jeśli na dzieło literackie spojrzeć jak na raport „szpiega”, okaże się, że Zawieyski niewiele ma do powiedzenia o Inwiligowanym. Nie może mieć wiele do powiedzenia, bo z założenia Inwiligowany jest nieskończenie mądrzejszy od służby śledczej.

Te trudności rozumie Zawieyski-teoretyk, choć jako autor musi się wobec nich ugiąć. (...)

Stąd u Zawieyskiego tak wielka rola przypadku. W przypadkowych zdarzeniach i przypadkowych rozwiązaniach ma się wyrazić owa niepojęta strategia Boga. Pisarz w ten sposób wykonuje jeszcze jeden gest: gest rozłożenia rąk na znak niewiedzy. Ale literatura o takich założeniach jest literaturą samorozbrojenia. (...)

Literatura, która chce rozstrzygać sprawy swych bohaterów przed Najwyższą Instancją, musi być z konieczności literaturą deklaracji. Wprawdzie każdy prąd literacki o ambicjach filozoficznych ma swoją instancję najwyższą. To więc jeszcze nie zarzut. Ale literatura katolicka wytacza swoje sprawy od razu przed swoim Sądem Najwyższym w sposób bezapelacyjny opuszczając sądy niższego szczebla. (...)

Słabością literatury katolickiej nie są pytania transcendentne, ale naiwna literacka obecność Boga Jedynego. Jeśli gra losów i ludzkich namietności ma się toczyć swobodnie, Bóg musi albo milczeć albo się podzielić. Obecny w utworze, choćby aluzyjnie, likwiduje każdy spór autorytetem swego trybunału, rozwiązuje pytanie przed jego postawieniem. Bogowie greccy nie musieli milczeć, bo podzieliwszy między siebie role, podzieliли i racje.

Od czasów chrześcijańskiego humanizmu wieku kontrreformacji literatura katolicka zabrnęła w nierozwiązalną sprzeczność. Odziedziła po antyku obecność dramatyczną bogów nie dziedzicząc ich podzielności.



Zdjęcie: Kazimierz Przychodzki

JÓZEF RATAJCZAK

Przedmiot poezji

PÓŁ ŻARTEM, PÓŁ SERIO

Młoda Polska przepadała za duszą. Dusza, duch — to słowa, które kolorową welenką przenikają wiersze ówczesnych poetów. Poem przyszła moda na maszyny, śruby i miasta. Na żelazny rytm tłoków i skrzyp osi. Sztaby, druty, lewary, świdry, oskardy robiły prawdziwą karierę w poezji. Ale to było za czasów śp. Awangardy. Nawet kilka „wiosen szcściolarki” nie przyczyniło się do ożywienia tamtej, odrzuconej rekwizytorii. Rusztowanie, murarz, tynek, cegła — oto co stało się teraz przedmiotem powszechnych zachwytów i opisów.

Co stało się z kole przedmiotem poezji? Meble. Po 1957 roku zaczęło przecieć na szeroką skalę produkcję nowych, estetycznych, jak mawiano klientom, i — nade wszystko — nowoczesnych mebelków dla wyrosniętych dzieci. Co nieprzydatne w życiu — awansuje w poezji. Krzesło wskoczyło więc na czterech łapach do wierszy i świadomości poetów, krzesło — rozumiane naturalnie jako symbol. Na drugi ogień — po szczęśliwych zabiegach z meblami — poszły naczynia kuchenne (to od czasu, gdy mężczyźni zajęli się gospodarstwem domowym), poszczególne części garderoby, abażury...

Wreszcie — około roku 1960 — w związku z małą stabilizacją i wydefiniowaniem podniebienia odkurzono złotą myśl starych panien „przez żołądek do serca” i zwrócono uwagę już nie tylko na talerz, lecz i na to — co na talerzu. Odkrycie śledzia, zrazów, mięsa przy kości, smalcu — rozpoczęło prawdziwą epokę.

Najmłodszy poeci, poeci 1962, zerwali ze śrubami, cegłą, krzesłem i śledziem. Tu i ówdzie zabłąka się co prawda jeszcze jakiś stół, rodem z Białoszewskiego, gitara Karakuliambra, jakiś koń (lecz już „prażony”), jakiś śledź (lecz już wędzony) — są to jednak reszki niedopłukane, niedoczyszczone, które wcale nie określają charakteru poezjiowania najmłodszych.

Przeczytałem sporo wierszy nadsyłanych do redakcji i zebranych w opasłej tece Klubu Literackiego, stawiając sobie przy każdym wierszu pytanie: o czym

wszystkich melodii. Ale już o świecie kiedy pierwsze promienie słońca wdarły się do pokoju poczułem wstępując z chwili na chwilę niczym niezasadniony niepokój. Wskoczyłem z łóżka i zająłem do szafy. Była prawie pusta. Z trudem stłumiłem okrzyk i nie poddając się panice zacząłem przetrzącać książki, koszule, ubrania; wydobywałem z pamięci wszystkie drobniaczki — miałem ich bez liku. Niczego nie brakowało! Zaprzestałem na krótko buszowania po półkach i położywszy się na chodniku zrobiłem kilka skomplikowanych ćwiczeń gimnastycznych. Zawsze uspokajało mi to nerwy. Tym razem jednak i gimnastyka nie zdała się na nic. Ponownie przejrzałem cały dobytek. I znów stwierdziłem to samo: niczego nie brakowało, a jednak ogromna szafa była nieomal pusta. Rozejrzałem się po pokoju — wszystko z wyjątkiem łóżka, chodnika i kilku próżnych butelek pod oknem wpałowało wczoraj do środka. Niewiele myśląc zwinąłem szybko chodnik; usta-

wiłem go w kącie na sztorc, ale wewnątrz przepastnego mebla prawie nic przez to się nie wypełniło; odwrotnie — jeden taki ką ujawniał tym bardziej pustkę w pozostałych zakamarkach.

Przez kilka dni chodziłem jak błędny myśląc stale tylko o jednym: czym wypełnić wnętrze szafy. W pokoju było jeszcze bardziej przestronno niż przedtem; nawet rozkładane łóżko wraz z pościelą wędrowało na dzień za wielkie orzechowe odrzwia. Za resztki pieniędzy kupowałem prawie wyłącznie rzeczy duże i pękate; upychałem nimi wszystkie schowki, szuflady i półki. Mebel zdawał się jednak pęcznieć i „ogromnieć” razem ze wzrastającym dobytkiem. Chcąc uniknąć natrętnych pytań zacząłem omijać wszystkich znajomych, którzy najpierw troskliwie dowiadywali się o zdrowie, a potem kręcąc głowami patrzyli na mnie z niepokojem. Tylko przyjaciel z obrazu był stale ze mną; czujnie śledził każdy mój krok swoimi wypukłymi, lekko od pi-

ta poezja informuje? Co pragnie opisać? Przekazać? Jaki jest — jednym słowem — przedmiot tej poezji? Przecież śruba, cegła, krzesło czy śledź to nie tylko żart, to prawdziwy, rzeczywisty kierunek poszukiwań, wyraz określonego stosunku do świata i jakiejś tam filozofii.

Niestety, nie znalazłem w dostępnych mi tekstach „przedmiotu wiodącego” (z wyraźną niekorzystą dla potrzeb niniejszego felietonu), nie znalazłem, o czym chciałoby się tak właśnie powiedzieć — w ogóle żadnego przedmiotu. A więc — poezja o niczym? Nie, gdyby tak było, nie stałoby przecież powodu do narzekania. Nic — to też już coś. To przynajmniej zaprzeczenie.

W wierszach zaczynających pisać licealistów nie ma zaprzeczeń. Wszystko jest rozarte, zagubione, nie wyróżnione. Jeśli są uczucia — to nie konkretne, niedoczułe, jeśli obrazy — to nieszczerne, przesączone, jeśli jest zaangażowanie — to zagubione w dziwolągach spleśnionych w węzeł gordyjski bądź rozpląszone we wczorajszych gazetowych banałach. Są właściwie jedynie pseudomodulowane nastroje — niedokreślone i niewiadome — poszerzone o całkowite zagubienie podmiotu lirycznego. Dzięki temu nie tylko nie wiadomo „o czym” — lecz i „kto”.

Puste miejsce po przedmiocie i podmiocie poezji zajęła magma nienoisnych, wyrażonych z treści figur językowych i stylistycznych, które dziwią się sobie, że stanowią obok siebie tworzą pozory wiersza.

Ekspresjonistyczny zapis słów i metafor, wprawki i przedrzeźniania złych tang i wersełów nie mogą, to naturalne, stanowić budulca autentycznej poezji. Być może, że to abecadło poetyckie, być może, — lecz po opanowaniu abecadła trzeba przechodzić dalej — do czytania sylab i słów.

Na nieszczerść, prób wyjścia poza alfabet trudno się dopatrzeć.

Zdawać by się mogło, że tego typu poezja magmy i rozkojarzeń jaźni i przedmiotu sprzyjać powinna lirycie miłosnej. Zakochanym wiele się wybacza. Nawet pozorne bezsensy są przecież w ich mowie pełne sensu. A jednak i tu nie brak niespodzianek.

Po pierwsze — wbrew oczekiwaniom — brak liryki miłosnej (czyżby wyraz sprymitywizowania słosunków kobieta — mężczyzna?), po drugie — jeśli wiersze takie już się trafiają, nie wybiegają na ogół poza schemat i odkrywcość tekstów popularnych piosenek. On — ona — morze. Gitaro — moja kochanko. Kto sprzeda zapomnienie — nie drogo, po przystępnej cenie. On — ona — pożarci namietnością. On — ona — w apoteozie miłości.

Warto dodać przy okazji, że, choć piszę tu „on — ona”, rzadko owa „ona” występuje w omawianych tekstach w talcu. Najczęściej symbolizuje ją tylko jakaś część ciała: ręka, biodra.

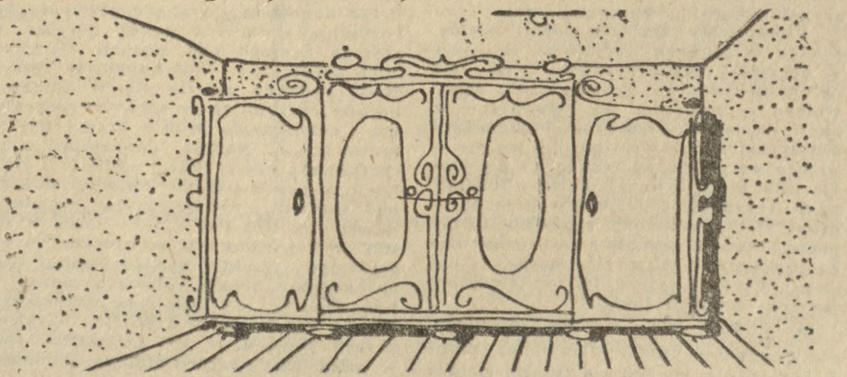
Banalne treści czy ściśle brak treści (bo to, co nie nazwane, nie istnieje) usiłują więc najmłodszy z rocznika 1962 ukryć barokowym wielostawem, owym szokującym — w zamierzeniu autorów — „kompotem bycia”, „płatkami aktywnymi”, „węzami szyn”, „samochodami plującymi ciepłem”, itp., jak gdyby nie pomni byli tego, że w układaniu tamagłówek i przypadkowych zbitkach słownych wyręcza już ich, i to doskonale, maszyna „Kaliopo”, która — jak wiadomo — też pisze wiersze...

Tymczasem nieznane lądy polskiej poezji XVI, XVII, XVIII wieku, najwartościowsze wzory poezji 20-lecia (takie jak poezja Władysława Broniewskiego) czekają wciąż na swoich odkrywców i kontynuatorów

P. S. Przeglądając sterty niedrukowanych wierszy — pragnę gwoli ścisłości dodać, że natknąłem się przy okazji na bardzo ciekawe teksty Bogusławy Latawiec, Mariana Dziurle i Edmunda Pietryka. Nie one więc stanowiły pretekst do napisania powyższych uwag. Ale to już inny temat.

jaństwa zamglonymi oczami. Oczy jego nabrały jakby życia; czułem ten wrok bez przerwy na swoich plecach, gdy odwrócony tyłem do niego grzebałem jak zwykle w szafie. Aż raz kiedy z rozpaczy podchmieliłem sobie nieco podbiegłem do ściany i szarpnąwszy wiszącego na gwoździu przyjaciela wrzuciłem go szybko na naj-

wyższą półkę, skąd wiało szczególnie rozpaczliwą pustką. Odtąd chcąc nie chcąc zahaczałem stale wzrokiem o żółty prostokąt pozostawiony na ścianie przez obraz. Czułem w sercu głęboki smutek, ale wiedziałem, że już nie mogę się cofnąć — szafa musiała być przecież wypełniona.



Ilustr. EWA PRUSKA

— Ludzie twórcy i intensywnie pracujący mają zwykle jakieś upodobanie w dziedzinie, całkiem przeciwnie ich specjalności. Jakże jest pana „hobby”, panie profesorze?

— Param się trochę literatury. Napisałem książkę pt. „Wybrańcy bogów”, o ciekawym matematyko-filozofie francuskim, Galois. Pisałem ją za granicą, po angielsku; miała tłumaczenia na polski i rosyjski. A i teraz mam pewien pomysł... — profesor Infeld uśmiecha się; ale, jak zwykle twórcy, nie chce mówić o dziele, które nie ma jeszcze gotowej formy, a powstaje dopiero w myślach lub szkicach autora.

— Czy pisanie daje panu satysfakcję?

— Bardzo dużą. Zwłaszcza, jako odprężenie po wytężonej, twórczej pracy naukowej.

— Ale przecież literatura, to też twórczość!

— Tak, ale to się nie da porównać z dociekaniem uczoności. Nie wyobraża sobie pani ciągłego napięcia i niepokoju, jaki „prześladuje” naukowca. Owe ciągłe uderki, bezsenności, które towarzyszą badawczej pracy naukowej. Nieraz powtarzam sobie za Leonardem da Vinci: „Po co się trudzić?”. Mam przecież wszystko, czego mi trzeba: dorobek naukowy, stabilizację ma-

„Wybrańcy bogów” i hobby

ROZMOWA Z PROF. LEONIDEM INFELDEM

terialną, mógłbym więc trochę odpocząć. A jednak...

— Ten, nie dający się zdusić, niepokój badawczy, to chyba wspólna cecha prawdziwie twórczych umysłów wszystkich czasów, prawda?

— Chyba. I dzięki Bogu! Bez tego nie byłoby postępu.

— Panie profesorze, przez kilkanaście lat był pan profesorem w Toronto w Kanadzie. Czy zechciałby pan powiedzieć, jaka jest różnica między studentem kanadyjskim, a polskim?

— No cóż, student kanadyjski jest mniej dojrzały społecznie niż polski, choć starszy wiekiem; szkoła podstawowa wraz z średnią trwa w Kanadzie trzynastę lat. Wie mało o Europie, mniej niż nasz student o Kanadzie. Ale za to bije naszych studentów pracowitością. I choć wszystkie prawie egzaminy odbywają się pisemnie, nie wie, co to ściąganie lub odpisywanie. Może to wynikać z małej fantazji, a może, po prostu, uczciwość? Zdarzyło się

raz, na kilka lat przed objęciem przeze mnie Katedry, że jeden ze studentów ściągali. To było całe wydarzenie, krążyła o tym legenda. Student, oczywiście, został wydłony...

— Gdyby te same sankcje stosowano u nas, obawiam się, że wyższe uczelnie świeciłyby pustkami! — Proszę posłuchać do końca: okazało się, że tym studentem był Polak!

— A jaki jest poziom studentów kanadyjskich?

— Bardziej równy niż u nas. To znaczy, najlepsi są u nas lepsi niż u nich, ale najgorsi są u nas gorsi.

— Pan, panie profesorze, znał Einsteina tak blisko, jak chyba żaden z Polaków. Czy chciałby pan coś o nim powiedzieć? Podobno wiele ludzi w życiu codziennym są dziwakami...

— Einstein nim nie był. Był to zupełnie „normalnie” żyjący człowiek, bez specjalnych nawyków.

— A jego kapelusz? Ow, słynny miękki kapelusz z wielkim rondem i skrzypecie, tyłokrrotnie uwidoczniane na zdjęciach?

— Kapelusz był rzeczywiście bardzo stary. Zawsze ten sam. Einstein wkładał go tylko od wielkiego dzwo- nu. A co do skrzypecie, to trzeba wyznać, że skrzyplem dobrym nie byłem...

— Tyle lat spędził pan profesor za granicą! Czy odczuwał pan sentyment do miejsca swego urodzenia?

— Zawsze. Ogromny. Kiedyś napisałem, że Kraków jest najpiękniejszym miastem na świecie. I zdania nie zmieniłem, choć pięknych miast widziałem wiele na obu półkulach.

Rozmawiała:

EWA BERBERYUSZ

Gdy kwitły wiśnie i jabłonie

Dokończenie ze str. 2

Najwięcej pracy mieliśmy naturalnie przy budowie mostów. Tak było między innymi na rzece Weisser Schoeps w rejonie Rothenburga. Budulca nie była, a czas naglił. Wypa- dło więc ciad słupy telefoniczne, roz- bierać zabudowania. Stalowe dźwi- gary wzięliśmy ze zburzonego przez Niemców pobliskiego mostu. Mówi się „wzięliśmy”, ale w rzeczywisto- ści dźwigary były przywalone gru- zem i należało wydobywać je za pomocą materiału wybuchowego. Nigdy nie zapomnę poświęcenia i ofiarności naszych saperów...

Najgorsze dla żołnierzy tego ba- talionu miało dopiero nastąpić. 18 lub 19 kwietnia kiedy mosty na rzece były już gotowe i sporo czoł- gów przeprawiło się na drugi brzeg — niemiecka dywizja przeciwpan- cerna „Hermann Goering” skoncen- trowała swe siły i ruszyła do prze- ciwnatarcia. Napór wroga był tak silny, że niektóre oddziały polskie musiały się chwilowo wycofać.

I wtedy to rzucono część sił ba- talionu saperów do powstrzymania Niemców. Drugi pluton trzeciej kompanii otrzymał zadanie zaminowania wszystkich dróg i wiaduktów w re- jonie miejscowości Horka. — Nie- osłojonych jeszcze z bojem młodych żołnierzy polskich poprowadził oso- biście do wyznaczonych miejsc do- wódca kompanii, oficer radziecki, st. lejtn. Diomin — Sybirak, który imponował wszystkim nie tylko od- wagą, ale i pięknym śpiewem. Inne plutony miały się zająć osłoną.

Kiedy część dróg została zaminowa- na rozpoczęła się nierówna walka. Pierwszy czołg niemiecki najechał na zaminowany teren i niebawem stanął cały w płomieniach, inne zaś musiały się zatrzymać. Piechota nie- przyjacielska, wspierana ogniem ar- tylerii i czołgów zaczęła szturmować i to coraz natarczywiej. Padli pierw- si zabici — szer. Lis i szer. Poszite. Dowódca plutonu chor. Połoniewicz i szer. Szreniawski zostali ciężko ranni. Ale saperzy nie ustępowali.

Tymczasem inna grupa żołnierzy przygotowywała do wysadzenia u-

przednio wybudowane mosty na rzece Weisser Schoeps.

— Czyniliśmy to z wielkim żalem. Budowa tych mostów kosztowała nas przecież tyle wysiłku, tyle trudu i ofiar. W dodatku zadanie było skom- plikowane, bo mosty należało wysa- dzić w chwili pojawienia się na nich czołgów niemieckich, a my nie mie- liśmy odpowiedniego sprzętu. Brak było kabla elektrycznego, odstąpił- my go pierwszej kompanii, która miała zbурzyć most na Nysie koło Rothenburga. Ognio- we wysadzenie natomiast takiej gwarancji nie da- wało. Ale od czego żołnierska pomysłowość. Do nagromadzonego pod mostami materiału wybuchowego do- łączaliśmy granaty ręczne, od ich zaś zawleczenia przeciwnięto druty i w odpowiedniej chwili wystarczyło tyl- ko pociągnąć, aby spowodować stra- szliwe spustoszenie. To ostatnie — powierzono chor. Fijuthowi i jeszcze jakimś szeregowcowi, którego na- zwiska już nie pamiętam.

A na przedpolu w dalszym ciągu trwał żarliwy bój. Saperzy odpierali ataki za atakami. Rozgrzane lufy au- tomatów coraz bardziej parzyły ręce.

Prowadzący ogień z ręcznego ka- rabinu maszynowego szer. Borkow- ski miał napełnione tylko dwa dyski, a strzelał już z piątego, szóstego... a będąc bez celowniczego gotów był uwierzyć, że to jakiś dobry duch po- daje mu ciagle to inne napełnione magazynki. Tymczasem jak się póź- niej zorientował, pomagał mu po prostu jakiś major radziecki. To już bowiem nadchodziła odsiecz. Naj- pierw przybyli żołnierze radziecy, później natomiast jakiś oddział pol- ski. W końcu Niemców odepchnięto, a jednostki radzieckie i polskie ru- szyły znów całą swą siłą naprzód. Do wysadzania mostów na rzece Weisser Schoeps oczywiście nie do- szło...

— Poległych żołnierzy naszego ba- talionu — kończy swoje wspomnie- nia płk Jankowski — pochowaliśmy w jakimś sadzie. Była już wtedy peł- nia wiosny. Gałęzie wiśni i jabłoni miały na sobie tyle biało-czerwonego kwiecia, że pod jego ciężarem się- gały do świeżo usypanej mogiły. To dziwne, ale te wiśnie i jabłonie pa- miętam chyba najbardziej...

Zanotował:

G. TROJANOWSKI

Pamiętam, przed laty, mój syn, małełtnie jeszcze wówczas pa- chole, wypyttywał mnie natarczy- wie czy istotnie istnieją zajaczki.

JANUSZ PRZYBYSZ

Zajaczki

Zaśmiewałem się z mego syna po ci- chu, szczęśliwy, że los a może przypa- dek obdarzył mnie dzieckiem tak nie- winnym. O ileż łatwiej mógł pytać na przykład czy istnieją bociany i o ile trudniejsza byłaby wówczas moja rola. Tłumilem więc śmiech i pełen życzli- wości mówiłem z powagą:

— Ależ tak, oczywiście, że istnieją zajaczki. Nauka zebrała już niezbitę do- wody istnienia zajaczek, fakt istnienia zajaczek tłumaczy nam wiele zjawisk pozornie niemożliwych do rozwikłania. Oto — ciągnąłem, porwany urokiem własnego wykładu — znalazłem w bu- ciku jajka, czekoladę i nadziewane tru- ffe, po 7,20. Któż inny mógłby je przy- nieść, jeśli nie zajaczek?

— To prawda — mówił mój syn pe- len podziwu dla uczonych, którzy tak prosto i przekonująco rozszyfrowali niepojętą tajemnicę trufl i, pozostawia- jąc jedynie w szersze wiecznej zagadki ich cenę.

Od tego czasu minęły lata, a może wieki. Pochyliłem się, zgarbiłem i po- włóczę nogami, idąc ulicą, aż młodzie- się zaśmiewa, szczerze. I syn mój rów- nież wyrósł i niegdyś tak różowy i de- likatny, obecnie zhardtiał i nie myje nóg i podkłada mi z renty na wódkę i przyjemności.

Lecz duszę ma nadal dziecka i o, przyszedł do mnie kiedyś i zapytał jak to się dzieje, że nasi sąsiedzi i dom sobie pobudowali i autem jeżdżą i na Riwierze byli i (jak się wyraził) obże- rają się.

— Chłopce — rzekłem poważnie. — Nie powinienes jeszcze myśleć o takich rzeczach. Uprawiaj raczej gim- nastykę. Czy naprawdę chcesz poznać rzeczywistość przyczynę tego dobrobytu?

— Ależ tak! Właśnie skończyłem 17 lat.

— Jesteś więc pełnoletni przed ma-

jestalem prawa karnego, wciąż jednak młodzieńcem wobec pozostałych ustaw. Poczekaj jeszcze trochę, a gdy staniesz się pełnoletnim, uświadomię cię jako ojciec.

Tak mówiłem, wahając się, czy mogę

tej wrażliwej duszy dziecka przedstawić

całą przykrą prawdę.

Lecz syn mój zawołał:

— Nie, ja chcę wiedzieć teraz. Wła-

nie kończę liceum i chcę zdecydować

czym być, aby szło mi równie dobrze

jak naszym sąsiadom. Powiedz więc,

skąd oni mają na to wszystko?

— A więc, powiem ci — uległem,

czując olbrzymią odpowiedzialność za

właściwy wybór drogi przez moje (?)

dziecko. — Otóż, oni mają, bo im przy-

niosły zajaczki.

Od tego dnia znów minęły lata i syn

mój rozwinął się wspaniale. Goli się

regularnie i choć nadal nóg nie myje,

zawsze nosi śnieżnobiałe koszule. Nie

dokrada mi również z renty, choć mi

ją tymczasem podwyższyli. Teraz jemu

wiedzie się dobrze, żyje sobie jak król

i wybiera się na Florydę.

A gdy pytam skąd ma na to wszyst-

ko, że powinien na siebie uważać, od-

powiada uspokajająco:

— Spokojna głowa, ojciec. Zajaczki.

EUGENIUSZ PAUKSZTA

Przekładaniec świąteczny

Pojawiło się sporo ciekawych pozycji w tym świąteczno-wiosennym okresie. Zaczę- od dwóch książek, czy raczej albumów o charakterze nieliterac- kim, a przecież związanych blisko poprzez estetykę z pojęciem sztuki. Myślę o arcydziełach pozycjach dotyczących wnętrza naszych miesz- kań. Wydawnictwo Związkowe o- publikowało w świetnej oprawie, graficznej pracę Jana Szymańskiego „O mieszkaniu ładnym i wygod- nym”, gdzie sprawę funkcjonalno- ści i estetyki naszych szczyptych mieszkań wybijają się na plan pierwszy w teście, rysunkach i planszach. Okazuje się, że można z każdego mieszkania uczynić praw- dziwe cacko. Udowadnia to także i drugi album, Jana Maasa i Marii Referowskiej, wydany przez „Ar- kady” — „Mieszkanie”. Obie prace uzupełniają się nawzajem i, moim zdaniem, stają się konieczne w domowej bibliotece każdego z nas. Bo mało chcieć ładnie mieszkać, trzeba też wiedzieć jak to uczynić.

PIW-owski świąteczny rary- tasem będą aż trzy książeczki z głosnej serii „Z Jednorozem”. A więc doskonałe, mocne opowiada- nie Jerzego Andrzejewskiego „Zło- ty lis”, świetne w rysunku psycho- logicznym bohatera, małego chło-

paka, Łukasza. Z kolei nowa pozy- cja niedawno omawianego tu prze- ze mnie pisarza amerykańskiego F. Scott Fitzgeralda „Historia jed- nego wyjazdu”, gdzie miesci się pięć krótkich opowiadań, stanowią- cych artystyczne perełki, umiające bardzo humanistycznym widze- niem człowieka i jego spraw. I wreszcie tomik, za który szczegól- nie wydawnictwu trzeba być wdzięcznym, Cypriana Norwida „Trylogia włoska”, utwory pro- zatorskie pisane krótko przed śmier- cią, w najtragicznym momencie życia poety, znajdującego dach

Z KSIĄŻKĄ NA TY

i strawę w podparyskim przytułku dla starców. Przy czytaniu nara- sta podziw, jak dalece umiał odo- rwać Norwid swoją myśl od przy- ziemnych spraw ku najwyższemu sięgając regionom artystyzmu.

W PIW-ie też ukazało się obec- nie w serii „Biblioteki Powieści XX wieku” nowe wydanie tak po- szukiwanej książki, jak Henry Jamesa „Ambasadorowie”, książki trudnej, niemal pozbawionej akcji, poruszającej kapitalny problem wnikania Amerykanina w kulturę europejską i wyciąganych stąd wnioskach bohatera powieści, wy- ruszającego jako „ambasador” a powracającego z uczuciem niewy- konania swej misji.

Dla zbieraczy świetnej serii PWN o kulturze antycznej polecieć

chciałbym doskonałą, frapującą napisaną pracę Sabatino Mosca- tiego „Kultura starożytna ludów semickich”, ukazującą wagę tej kultury, przynoszącej nam między innymi alfabetyczne pismo, w ca- łym rozwoju ludzkości.

Zajmującą lekturą, pouczającą w niejednym, będzie sięgnięcie do opublikowanej przez „Wydawnic- two Łódzkie” pracy Bohdana Ba- ranowskiego „O hullajach, wied- mach i szteteczniciach”, stanowiącej zbiór szkiców obyczajowych z XVII i XVIII wieku. Podkreślam, że bar- dzo wiele wiąże się tu z Wielkopo- lską i jej stosunkami w owym okre- sie.

A teraz nieco nowości „Iskier”. Nareszcie ukazało się wznowienie prześlizniętej powieści Marka Twai- na „Król i żebrak”, ulubionej lektury wielu pokoleń. Myślę też, że nie tylko młodzi czytelnicy, ale z sentymentu również i starsi wez- mą do ręki wydane w jednym to- mie stanowiące całość cykliczną „Łowcy wilków” i „Łowcy złota” J. O. Curwooda oraz Jerzego Mar- licza „Łowcy przynosi”, jedne z najwspanialszych opowieści o ka- nadyjskiej puszczy. Świetna, pełna świeżego humoru będzie historia perypeti pierwszego miłośnika sztuba- ba, „Siedemnastolatek” Bootha Tarkingtona, rzecz napisana z wiel- kim talentem. I wreszcie „Innocen- cja” Alfredo D'Escargolnie Tau- nay'a, powieść o konflikcie roman- tyzmu i miłości z surowymi obczy- najami w głąbiach brazylijskiej puszczy drugiej połowy XIX wieku.



Amerika wielopiętrowa

Mieczysław F. Rakowski relacjonuje na łamach „Polityki” w reportażu pt. „Ameryka wielopiętrowa” swój 3-mie- sieczny pobyt w USA od 5 września do 25 listopada ubr., w czasie kiedy trwały: kampania wyborcza, wydarze- nia w Missisipi na tle rasistowskim i kryzys kubański. Wydarzenia te:

„Ukazywały Amerykę pewną siebie, zgodną w jednych sprawach, skłóconą w innych, rozhisteryzowaną na tle „niebezpieczeństwa kubańskiego”, zado- woloną — zwłaszcza na Południu — z akcji rasistów przeciwko studentom murzyńskiemu, Meredithowi, i stojącą — przede wszystkim na Północy — po stronie kilkunastu tysięcy żołnierzy federal- nych, ochraniających jego wejście na u- niwersytet, podzieloną sympatiami dla demokratów i republikanów, analizują- cą swe porażki w świecie, zdumioną po- stawą Europy zachodniej, wyłamującej się spod kurateli USA...”

M. F. Rakowski w swym reportażu, utrzymanym w formie dziennika, szcze- gólną uwagę zwrócił na system partyj-

ny, rolę związków zawodowych, kwe- stię murzyńską, antykomunizm, działa- nia ekipy rządowej oraz na poglądy i opinie Amerykanów w otaczającym ich świecie. Ciekawa lektura!

Chrześcijaństwo i pokój

To tytuł artykułu Stanisława Markie- wicza w „Nowej Kulturze”. Autor opi- suje stosunek Kościołów chrześcijań- skich do sprawy wojny i pokoju.

„Od drugiej połowy roku 1962, a zwa- szcza po pamiętnych dniach kryzysu w strefie Morza Karaibskiego, w kościo- łach chrześcijańskich, na całym świecie coraz donośniej zaczął się rozlegać głos rozsadku, wołanie o pokój, górując w szeregu krajach nad głosami kleryka- lnych podżegaczy wojennych. W dniach 20-22 czerwca odbyła się w Genewie narada chrześcijan w sprawie rozbroje- nia i zakończenia prób z bronią termo- jądrową (...). Narada genewska zapo- czątkowała nowy rodzaj spotkań i dys- kusji w środowiskach chrześcijańskich nad pilnymi, wspólnymi zagadnie- niami (...). Rezultat (...) streszczony zo- stał w oświadczeniu, w którym m.in. czytamy: „Traktat o zaprzestaniu do- świadczeń z bronią jądrową... powinien być zawarty możliwie jak najprędzej. Trzeba na to położyć nacisk, zarówno z tego powodu, iż jest on ważny sam w sobie, lecz również dlatego, ponieważ

może stanowić, obiecujący punkt wy- ścia ku rozbrojeniu.”

Przedstawiciele Kościoła podpisali również inne dokumenty tego rodzaju. Jedną z deklaracji podpisał także episkopat zachodnio-niemiecki. Ale...

„W NRF jeszcze dużo trzeba zrobić — pisze Markiewicz — aby słowa, napisa- ne w deklaracji, dotarły do całego spo- łeczeństwa.”

W rękach narodów...

W świątecznym „Tygodniku Demo- kratycznym” Michał Olszewicz opisu- je przebieg rozmowy z prof. Stanisławem Kulczyńskim, przewodniczącym Ogólno- polskiego Komitetu Pokoju. Wywiad nosi znamienity tytuł: „Ostateczna de- cyzja w rękach narodów”. Odpowia- dając na pytanie: Jakże były najważ- niejsze kierunki prac Prezydium Świa- towej Rady Pokoju w Malmö? — S. Kulczyński stwierdził:

„...Trząd Adenauera dąży do uzyskania per fas et ne fas broni termojądrowej, prawa — jak to się dziś popularnie mó- wi — do naciśnięcia „guzika nuklearnego”. Stawia on z jednej strony na e- wentualną realizację wielostronnej siły nuklearnej NATO, a z drugiej, na uzy- skanie tej broni poprzez sojusz militarny Niemiec zachodnich i Francji. Pre- zydium Światowej Rady Pokoju wezwa-

ło narody Europy do wzmoczenia czuj- ności i walki przeciw tej groźbie, którą stanowi dziś możliwość uzyskania przez NRF broni termojądrowej, podkreślając, że z chwilą, kiedy broń taka znajdzie się w ręku b. hitlerowskich generałów, otwiera się szeroka droga do wszelkich, możliwych prowokacji.”

Prof. S. Kulczyński ocenia również bardzo pozytywnie oświadczenia pa- pieża Jana XXIII w sprawie pokojowe- go współistnienia i jego dążenia do odwrócenia niebezpieczeństwa wojny termojądrowej.

Wspomnienia nauczycieli

„Głos Nauczycielski” — w związku ze zbliżającym się XX-leciem Polski Ludowej ogłosił konkurs pt. „20 lat Polski Ludowej we wspomnieniach nauczycieli”, w którym mogą wziąć udział nauczyciele czynni i emeryci, pracownicy oświaty, nauczyciele-dzia- łacze organizacji politycznych i spo- łecznych oraz nauczyciele zafrudnie- ni w innych dziedzinach życia spo- łecznego, gospodarczego i kulturalne- go. Organizatorem konkursu chodzi o wypowiedzi oburzające walkę o nowe formy życia, pracę nad kształtowaniem

profilu wychowawczego szkoły i po- staw młodzieży, współpracę szkoły z domem itp. Termin nadsyłania prac — 31. X. 1963. Nagrody: I — 10 tys. zło- tych, dwie II — 7 tys. zł, trzy III — po 5 tys. zł, dziesięć IV — po 3 000 zł, 25 wyróżnień po 1 000 zł i 20 nagród rzeczowych.

Kryzys świetlic?

Pod takim tytułem publikuje „Współ- cześnieść” artykuł Aleksandra Mała- chowskiego, który sygnalizuje przeży- cie się tradycyjnej świetlicy. Na to zjawisko wpływają nie tylko nieakty- cyjne już dla młodzieży formy pracy świetlicowej ale również kryzys kadro- wy. Autor pisze m. in.:

„Stare formy: domy kultury i świe- tlice, mają tylko o tyle sens, o ile mogą w znaczeniu czysto materialnym orga- nizować dostęp do środków masowego barupowszechniania. W domu kultury bar- dziej jest dzisiaj potrzebny dobry inten- dent, dobry gospodarz klubu, znakomity kucharz i elektryk niż wszelkiego ro- dzaju instruktorzy.”

Autor na pewno — naszym zdaniem trochę przesadził, ale dużo jest w tym prawdy. Przypominamy, iż porusza- liśmy ten sam temat kilkakrotnie.

LEKTOR